protest przeciwko temu co jest –
tak jak opisuje to Stieglitz
i nie tylko w polityce,... co się tyczy państwa,
także co się tyczy sztuki,
zwłaszcza literatury,...
ale nigdy nie było w tym nienawiści...
Nie, ja się nie wypieram tych wczesnych utworów!
Chciałem je zniszczyć,
był taki okres,
ale moja żona strażniczka mojego dzieła –
zapobiegła temu...
spogląda przelotnie na pannę Wenderfels
Jeśli chodzi o tetralogię,
to dziś przed południem wobec panny Werdenfels –
posługiwałem się aluzjami...
naturalnie można się posługiwać tylko aluzjami...

tłumaczenie **Jacek St. Buras**

adaptacja, reżyseria i scenografia **Krystian Lupa**

muzyka **Paweł Szymański**

kostiumy **Piotr Skiba**

projekcje wideo **Zbyszek Bzymek, Robert Mleczko**

asystent reżysera **Kasia Raduszyńska, Tomasz Gawron**

Moritz Meister **Władysław Kowalski**

Anna Meister **Maja Komorowska** (gościnnie)

Panna Werdenfels **Agnieszka Śnieżyńska**

Pan Von Wegener **Andrzej Szeremeta**

Pani Herta **Mirosława Dubrawska** (gościnnie)

Pan Smirnoff, listonosz **Marcin Tyrol**

Wydawca **Piotr Skiba**

inspicjent **Karolina Zbrożek**

sufler **Jaga Dolińska**

prapremiera polska wrzesień 2006

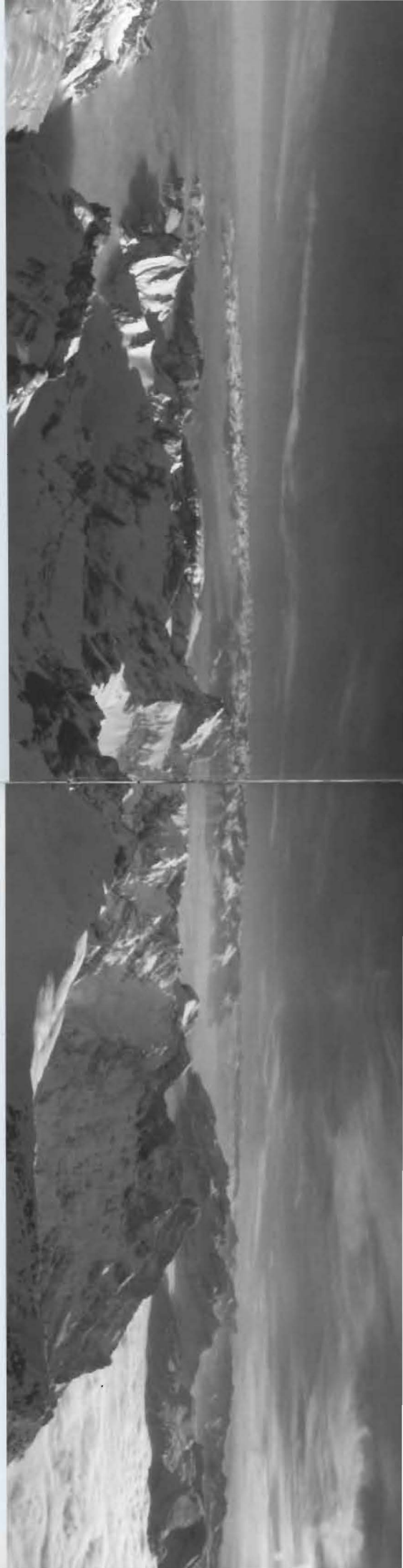

Thomas Bernhard

Na szczytach panuje cisza

reżyseria Krystian Lupa

Krystian Lupa

Nad szczytami jest cisza – z dziennika

07:10 2006-01-18

Ciało bezwolnie wyciągnięte w ciepłej wodzie, nogi, nogi, nogi – równoległość i wolny ruch za wolno płynącą myślą... Myśl również w wodzie... Skowronek siadł na mej dłoni, w świecie lęku i pogoni... ON... Biały olimpijczyk myśli, że zmierza do prostoty, że pnie się nieustannie wyżej. Totalna akceptacja rozpuściła mu nieufność... i również tę nieufność, która młodemu, zgubionemu w świecie człowiekowi zwraca się przeciw samemu sobie. Jesteś nikim – mówi młodemu człowiekowi agresywna nieufność i pobudza go do walki. Nieubłaganej i nie pobłażającej... Biały olimpijczyk płynący w ciepłej łagodnej wodzie nie wie, że sprzyja degradacji i zamieraniu, które toczy się w jego ciele. Znowu bawi się swoją duchowością jak kiedyś w dzieciństwie. Ciepła woda rozpuszcza czujność. Kocha swoje myśli, są bowiem cenne, coraz cenniejsze. Zawsze miał człowiek pierwotne, najpierwotniejsze przeświadczenie, że głębokie jest to własne... to wszechświat królewski oseska... niemowlęcia – ja pierwotne rozciągnięte na świat. Wrogi świat to podważa, wrogi świat wymaga od dorastającego człowieka dążności nieubłaganej... Wciąż czekające na horyzoncie widmo totalnej klęski, zaprzepaszczenia szansy swego jednostkowego istnienia, bożek śmierci wreszcie – wszystko to pobudza indywiduum do walki i samokrytycyzmu. Często samokrytycyzm jest obcą istotą z zewnątrz, jest głosem ojca-przeciwnika, mistrza-wroga... Wraz z dojrzałością i rozpoczynającym się zastojem, inercyjnym procesem cielesnej degradacji, zwłaszcza, kiedy pojawi się bezpieczeństwo akceptacji na wyrost, a wynoszenie wielkości w naszej bałwochwalczej wspólnocie – jest zawsze akceptacją na wyrost – ta postać zewnętrzna, szydercza – zanika. Albo milknie, albo wycofuje się gdzieś do ciemnego kąta... Wykąpany w wodzie wielkości powraca do swojego egoizmu, powraca do swojego dziecka, do przeświadczenia, że głębokie jest to, co jest "we mnie". Ja jest głębokie i olimpijczyk wierzy w tę głębię. Wierzy, że ten regres jest rozwojem. Nie zgłębia już i nie walczy z tym wszystkim na zewnątrz. Zgłębia siebie... Ukojone ja otwiera się i ukazuje tę głębie... I jeszcze... Świat pozwala, świat czeka na ten egoizm, świat jest wdzięczny... Na granicy tego procesu, na początku, czasem jeszcze długo potem, świat pochlebiony ekshibicjonizmem wielkości, pożerający na powrót w otchłań – ten ekshibicjonizm... Wielkość zostaje pożerana z powrotem w otchłań... Tego pragnie bezgłowy potwór... Siwy olimpijczyk chce mieć jednak alibi. Wykształca sobie temat

zgłębiania. Stawia sobie rzekomo jakiś przedmiot studiów. Ludzkość do tej pory lekceważyła ten temat. Wystarczy poczucie, że się jest odkrywcą jakiegoś rejonu. Złudzenie jego uniwersalności przychodzi samo. Olimpijczyk bawi się swoim przedmiotem studiów jak dziecko. Obowiązują wewnętrzne kryteria. Brak riposty, brak szydercy powoduje, że intuicje stają się objawieniami - procesy dowodowe są coraz dowolniejsze, struktura myślowa mięknie... powtarza się, przyjmuje ów prawdziwy, wewnętrzny - dziecięcy kształt głęboko ukryty - zrównuje się z pierwotną infantylną, animalnie powtarzalną zabawą myślami-obrazami - zewnętrzny temat staje się coraz uboższy i coraz bardziej pozorny - wynurza się wciąż na nowo, w nieskończoność wznawiana myśl-obraz własnego zwycięstwa. Zwycięstwo jako hybryda nieśmiertelności. Misterium siebie - jako złudne, samozwańcze, toczące się pod boskim pierwowzorem - misterium przemienienia. Samourzeczywistnienie... Namiastka procesu. Opus magnum spada w głąb tej dziecinnej namiastki świata, świata własnego, którym bawi się teraz do woli demiurg-samozwaniec. Oczywiście nie jest to proces bezkarny i odwracalny. Jest duchową chorobą. Ja - staje się jedynym tematem. Świat jest pozorny i miękki i nić zaraz spada - z powrotem na ja. Świat nazbyt się poddaje - szaleństwo nie wyrusza w podróż, nie wikła się, nie zostaje w świecie, czy w drugim człowieku. Ja staje się przekleństwem. Ja znowu - jak w najwcześniejszym dzieciństwie - jest wszędzie. Być może pod spodem jest lęk, przeczucie pułapki, albo fałszywej drogi. Może w gorszych chwilach, w chwilach rozdrażnienia, zmęczenia... depresji - odzywa się wypędzony szyderca. Przepędza się go. Więc teraz już trzeba tkwić w swoim sukcesie i w swoim ja, bo coraz straszliwszy - jest ów NIEJA. Zagłodzony i więziony - zamienia się w potwora. On również dziecinnieje. Albo zamienia się w wariata. Mówi Bernhard - lepiej stać się w całości tym wariatem, lepiej oddać się we władanie temu wariatowi, choćby miało to przynieść w konsekwencji zagubienie się wraz z nim we wrogim świecie. Ten wariat (bernhardowski wariat) stoi na antypodach białowłosego olimpijczyka - ale przecież jest jego bratem bliźniakiem. Tymczasem białowłosy olimpijczyk nie wie jeszcze o tym, że nie umie już prawdziwie konfrontować się z prawdziwie zewnętrznym światem, z tym, co się w nim dzieje, co się w nim zmienia - nie umie się już również konfrontować z prawdziwym, zewnętrznym człowiekiem. To, co się w nim odbywa pod pozorem i na podobieństwo procesu, jest coraz bardziej martwe. Staje się raczej perseweracją, sklerotycznym powtarzaniem, a nie procesem. Degradujące się ciało powraca do powtarzalności dziecinnych pieszczot. Człowiek nie zauważa, że tonąc w „swoim", przestaje odkrywać, a więc przestaje zapalać, zmagać się z „obcym", z „obcego" czerpać materię antynomii i twórczą energię. A przecież wciąż wydaje mu się, że odkrywa. Więcej - wydaje mu się, że jeszcze nigdy nie odkrywał tak głęboko. Kiedy zagłębia się w te odkrycia, znowu „ja" wyłazi na wierzch, wreszcie na końcu tej drogi „ja" staje się nieustanne jak starcza choroba. Artysta (twórca) umiera wcześniej niż człowiek - artysta wcześniej niż człowiek popada w infantylizm. Człowiek fizycznie i umysłowo (w innych rejonach) wydaje się jeszcze całkiem na chodzie - lecz artysta w nim jest już martwy - albo staje się dzieckiem jedzącym własne ekskrementy... Siwy olimpijczyk zostaje coraz bardziej osamotniony. Pozornie to on wybiera tę samotność. Ale w rzeczywistości to on traci porozumienie ze światem, paradoksalnie - w momencie, kiedy ten świat najbardziej go wielbi. Wokół olimpijczyka panuje jakaś nuda i jałowość. To się nazywa OPUS MAGNUM. Dziecinada i lęk... Skowronek siada na dłoni... Coś wstydliwego... Coś wstydliwego unosi się wokół wielkości. Jakiś słodki smród pieluszek... Coś niepoważnego w powadze. Białowłosy olimpijczyk dostrzega ten brak powagi przy goleniu, dostrzega ten brak powagi - to ogarniające jak powódź dzieciństwo - kiedy zaczyna mówić. Czasem słyszy to, że mówi tylko o sobie, ale nie jest w stanie tego zmienić, to dzieje się samo... jak ręce, jak usta Midasowe... Ja stało się złotem - czegokolwiek teraz dotknę, zamienia się w złote ja. Inni też w kontakcie z białowłosym olimpijczykiem nie znajdują innego tematu niż biały olimpijczyk. Jakaś katastrofa zaczyna nadciągać. Nieuchronnie. W nim, w jego najbliższych - jeśli jeszcze są tacy - bo nagle to ja napęczniałe, to ja rakowate - staje się trujące i wrogie - i inni zaczynają coś dostrzegać. Lepiej nie zbliżać się do olimpijczyka - bo smród pieluch staje się dojmujący - a przecież nie wolno o nim mówić, trzeba się dalej zachwycać głębią - udając, że się nie dostrzega tego smrodu. Rozczarowanie. Rozczarowanie, o którym nie wolno mówić. Znikają uczucia. Znika radość, gniew, sprzeciw... Praca - dalsza praca - opus magnum okazuje się oszustwem. Prostota staje się jałowością... Geniusz zatacza koło i zbliża się do nieudolnego ucznia, który pisze wypracowanie... Rozpoczyna się dziwaczny okres wstydliwej samotności... W ciemnym pokoju, w pościeli... Warsztat myśli wciąż na chodzie, wciąż coś myśli o czymś, ciągły ruch, Myśli najgłębsze stają się nagie, wywracają się na opak podszewką, rozlewają się, stają się ciałem, przeczuciem ciała... oszukanego przez demona nieśmiertelności... Tyle na razie...

15:14 2006-01-21

O tajemnych gierkach – dorosłych dzieci – pragnących zwyciężyć. Wejść na Olimp – to jest to przecież! W miarę jak odrzucamy oficjalne cieszenie się majestatem, no bo przecież tronowanie króla, te wszystkie ceremonie powoływano do czegokolwiek, do jakiejkolwiek funkcji, która przewyższała tak zwane osobiste życie jednostki i jej – jednostki – osobiste sprawy, każda sprawa "ogólna" związana była z takimi ceremoniami, do których niezbędne było wyniesienie. Zanim cokolwiek się zrobiło ponad głową jednostki, trzeba było przeprowadzić tę długą, dziś stanowczo zbyt długą ceremonię. Dziś wszystkie te święta państwowe z ich paradami i długim pokazywaniem pawiego ogona, czy msza nawet, msza, która nawet Bogu musi tak długo gładzić, pieścić, masować... majestat, wszystkie te ceremonie trwają dla dzisiejszego człowieka stanowczo za długo, wszyscy nudzimy się (właściwie bez wyjątku – i ci, aprobujący i ci – wyśmiewający) na tych ceremoniach – a przecież ich nie skracamy. Trwa niepisana umowa, że tak trzeba, że komuś to jest potrzebne, choć właściwie to nie za bardzo wiadomo komu. Wszyscy widać tego potrzebujemy, wszyscy – jako wspólnota, do zadzierzgnięcia relacji tej wspólnoty z wyniesionym, ale przecież to jest również nieprawda, bo nie następuje w tym czasie w łonie wspólnoty żaden integrujący, czy inicjujący proces. A zatem w gruncie rzeczy dzieje się to dla wyniesionych, żeby dać im zadośćuczynienie i tym samym, żeby im uśmierzyć kompleksy, żeby oferować im wiarę w samego siebie większą niż do tej pory, wiarę w samego siebie większą niż wiara tak zwanego „standartowego człowieka", który przecież jest przeznaczony do spełniania w łonie wspólnoty roli biernej. A zatem niech wyniesiony wierzy, że umie chodzić po wodzie. Do tej pory – pisząc te zdania – miałem w pejzażu myśli raczej politykę, z całymi tymi smaczkami, które się dziś pojawiają na politycznej scenie – a spektakl jest rzeczywiście mocno podejrzany – to znaczy dla koneserów i amatorów smaczków łakomy, to znaczy ciekawy... Chcemy śmiać się z naszych polityków, chcemy ich poniżać tym śmiechem, tak, tego podświadomie chcemy i to sobie w zasadzie serwujemy... No... powiedzmy – kto komu serwuje? Tego tak dokładnie to nie wiadomo... Niemniej poniżanie polityków w naszych myślach, szmacenie ich, traktowanie ich w myślach gorzej niż najgorsze ściery... tak, tego potrzebujemy skrycie i tę potrzebę zaspokajamy sobie... Nie wytrzymujemy już w takim naiwnym i pokornym czczeniu jaśnie wielmożnych. A przecież teatr wielkich nie zaprzestaje swojej pompy wraz z groteskowością jej średniowiecznych przebrań. Nie zaprzestajemy... Oni nie mogą tego przerwać, jak tylko zostają wyniesieni, to skrzętnie poddają się tradycji i przywdziewają togi i siadają na tronach, pozwalają, by hołdownicze ceremoniały trwały tradycyjnie zbyt długo, wraz ze zmianą naszej mentalności i gustu prawdy – coraz bardziej groteskowo zbyt długo – i już tym niestosownym czasem ceremonii wystawiając się na a priori konieczne, założone niemal z góry wykpienie. Wywyższony zostaje wykpiony, zanim jeszcze zdąży się pokazać, zanim coś zrobi w swoim wywyższeniu... To wszystko, o czym mówię nie występuje jawnie i w całej swojej rozciągłości. Nie, występuje podziemnie, jako stały motyw odwrotny, jako antynomia motywu oficjalnego, że tak powiem... Wielkość w dzisiejszym świecie – w świecie rozpętanego relatywizmu (relatywizm jako wielka anarchiczna anergia, można by rzec energia napędowa zbyt przeciążonych, zbyt ogromnych i zbyt skomplikowanych mechanizmów) – jest natychmiast zarażona chorobą, ta choroba dotyczy też oczywiście indywiduum – w całej rozciągłości – i duchowo i cieleśnie – dotyczy indywiduum pretendującego do wielkości, walczącego o wielkość i piastującego – mniej lub bardziej samozwańczo – tę wielkość. Wielkość jest uzurpacją a priori – niezależnie od zasług, niezależnie od wielkości czynu, czy – przenosząc na nasze artystyczne podwórko – niezależnie od wielkości twórczego aktu – wielkość jest uzurpacją. Człowiek nie powinien, nie ma prawa przybierać szaty swego czynu, czy też szaty przyznanej za czyn, a przecież nieustannie to robi (nawet mówiąc na prawo i na lewo, że nie powinien, że nie ma prawa tego robić) – nieustannie to robi. I jak szmuglujemy te szaty z czynów (w nieznacznej krawieckiej przeróbce) na nasze prywatne pokoje. Ileż tu szwindlu! Ileż tu szachrajstwa! Ileż tu kłamstwa?!! Im bardzie prostacki jest pyszałek w człowieku, tym bardzie człowiek jest przekonany, że potrafi go ukrywać. Po prostu wszem i wobec mówi bezczelnie, że go nie ma. I, że jet skromny... I ludzie przyjmują to, bo robią to samo. W gruncie rzeczy – jakbyśmy powiedzieli: „po prostu umówmy się, że tego nie mamy"... No tak, w gruncie rzeczy pyszałek to nasz cień, nasz pyszałek należy do strefy cienia (w Jungowskim zrozumieniu), a człowiek wspólnoty, człowiek niesamodzielny – ma podstawowe trudności z integracją cienia... Ale ci, co zaczynają wychodzić na samodzielną drogę, ci, co się wyróżniają z tłumu, ci co próbują wzlecieć nad tłum? Ikary?! Czy wraz ze wznoszeniem następuje dojrzewanie, następuje stosowny, czy (inaczej mówiąc) potrzeb-

ny proces indywiduacyjny? No tak... oczywiście nie. Wyniesienie temu nie sprzyja - wręcz przeciwnie. Te procesy (procesy dojrzewania) toczą się raczej w obszarze katastrofy, albo pomiędzy zwycięstwem i katastrofą... Do tego procesu trzeba samotności, odejścia od konsumpcji sukcesu... Zazwyczaj (wszyscy, choć w różnym stopniu) mamy kłopoty w rezygnacji z konsumpcji swego sukcesu. Udajemy tu dojrzałość, której nie posiadamy, jak uczniowie udają, że znają zadaną lekcję, której nie znają. Wiemy, że powinniśmy to mieć, że powinniśmy TYM zapłacić za swoje wyniesienie. Z wyniesieniem powinno iść w parze poszerzenie, powiększenie naszej osoby, naszej wspaniałomyślności. Tak, wiemy, że powinniśmy to zrobić, jak zadane lekcje, ale tego nie robimy. Udajmy, że to mamy, ale tego nie mamy. Uspokaja nas, że wszyscy wokół nas to udają, więc skoro ktoś mówi, że to ma - to ja udaję, że mu wierzę, a jak ja udaję, że to mam - to liczę, że inni w to również wierzą. Ceremonie wielkości, którymi pieczętujemy nieprzypieczętowane, którymi świętujemy dojrzałość niedojrzałych - wszystko to załatwia za nas. Szaty dostojeństwa załatwiają za nas coś, (a zwłaszcza to niewymowne), czegośmy sami nie załatwili.
I tak dziecinnie nadajemy ordery, przyjmujemy ordery i chodzimy przed drugimi ludźmi - przystrojeni w te ordery. To na razie tło, to tło z powtarzalnym miliard razy deseniem... Druga tura, to przypadek artysty - artysty, od którego się oczekuje, że jego akt twórczy jest równoległy (czy pochodny) z procesem indywiduacyjnym, procesem samouświadomienia i samodoskonalenia - i czy te procesy są powiązane ze sobą, jak ouroboros - ze sobą splecione... ???

15:29 2006-03-04

Czy uda mi się jeszcze raz, albo dopiero teraz?.. Próbowałem na próbie nazwać to perwersyjną relacją. Relacja w trakcie wywiadu jest skrycie perwersyjna, z tym, że partnerzy najczęściej nie chcą nic wiedzieć o tej perwersji. Profesjonalny stosunek to maska do ukrycia relacji dzikich, naruszonych, niedopuszczanie motywów niepożądanych, niedozwolonych... i tak dalej. Ludzie obcy zyskują jakieś prawo - na zasadzie rzekomej wspólnoty interesów. Obie strony (rzekomo) mają w tym interes, żeby coś takiego przeprowadzić, dokonać, zrobić... A interes jest tym większy im większe naruszenie „dóbr osobistych" się z tym wiąże. Więc o tym, że „doktorantka" - czyli panna Werdenfels - jest organem, czy też „organizmem" przyczepionym do instrumentu zapisującego... To jednak nie jest źródło owej perwersji - to raczej tylko katalizator. Rzecz w tym, że doktorantka jest pierwszym czytelnikiem, jest osobą wtajemniczoną, czy też świadkiem obnażenia. To pierwsze wydanie osobliwej wstydliwej tajemnicy arcydzieła - na widok publiczny. „Arcydzieło" jest obiektem intymnym, zwłaszcza w momencie, kiedy nikt go jeszcze nie zna. To nie tylko osobista treść zawarta w „arcydziele", to również jego słabość. Paradoksalna rzecz - arcydzieło ma większą słabość niż inne, normalne, na mniejszą skalę zakrojone dzieło. Opus magnum jest fenomenem uzurpacji - i ma szeroko rozlaną ową słabość, bezsiłę, niedonoszenie, niesprostanie jednym słowem. Czasem całe opus magnum jest owym niesprostaniem - ikarowym upadkiem. Samo targnięcie się na niemożliwe, które to targnięcie się jest w pewnym sensie warunkiem wstępnym „opus magnum", zawiera w sobie coś nieprzyzwoicie obnażonego, artysta obnaża się przez samo takie targnięcie. Więc (na pierwszy rzut oka niewinne) wręczenie nieznanego, nietykalnego jeszcze, nie rozdziewiczonego dzieła jednej, jedynej osobie (no nie jest ona taka jedyna, skoro są już dwaj krytycy - tak, utrzymujmy to nielogiczne kuriozum - dzieło jest dziewicze, ale ma już dwóch krytyków, nikt nie zna dzieła, ale są już recenzje - to jedna z tych niemożliwych architektur, które samorodnie powstają przy „opus magnum")... a zatem, kontynuujmy zdanie: wręczenie jednej jedynej osobie takiego intymnego ładunku - staje się czymś szczególnie obnażającym. Od tego momentu nie da się czegoś cofnąć.
Bo przecież wciąż jest możliwe spalenie dzieła, czyli spalenie owej intymności - tak to jest najczęściej, że powodem spalenia jest nazbyt bezbronna - horrendalna, haniebna

– intymność. Nie intymność wyznania, ale intymność uzurpacji. Nagle mogę przejrzeć na oczy, zobaczyć rozmiary klęski zawartej w opus magnum – i spalić swoje dzieło. Na marginesie – najgorzej, jeśli z dziełem związane są już społeczne czy państwowe pieniądze. No ale jeśli jest już jeden świadek obnażenia? W ostateczności zawsze jeszcze można go zabić, jak jedynego świadka morderstwa, czy innego jakiegoś haniebnego przestępstwa. Bo to tak jakoś zaczyna się polaryzować. Największa nadzieja staje się największą hańbą... i, o dziwo, nie przestaje być nadzieją. Odległość między majstersztykiem a „gównem" jest o wiele mniejsza niż w wypadku na mniejszą skalę zakrojonego tworu. A więc jest pierwszy czytelnik. To jeszcze nie powszechne rozdziewiczenie, ale przecież również nie dziewictwo. Dziwny stan wydania na łaskę jednej osoby. Dziwna seksualna bezsilność, porównywalne do owego „on wie o moim morderstwie"... Przedziwne – jak bardzo człowiek nagle staje się w łasce owego „jedynego człowieka" – an sich, jakby powiedział Moritz Meister. Więc niespodziewanie doktorantka – panna Werdenfels – staje się właścicielką „magicznej mocy" – czuje to bardzo mocno pani Meister, która chętnie odebrałaby pannie Werdenfels – to „przeczytanie" tetralogii. Która nie może się pogodzić z tym lekkomyślnym niezrozumiałym dopuszczeniem profana, która chce coś zamknąć na kłódkę, zmusić do jakichś warunków wspólnoty w milczeniu... Wszystko w utajonych myślach pani Meister zdaje się pytać pannę Werdenfels: „Czy pani wie o tetralogii to, co ja o niej wiem?" – ale przecież to jest tabu, tego w ogóle nie można powiedzieć, bo nie można przecież powiedzieć, że arcydzieło jest dziełem nieudanym. Tego w żadnym wypadku nie można powiedzieć. Tego nawet nie można wypowiedzieć w sensie zaprzeczenia – bo coś takiego może stać się zarazą, która wypuszczona z puszki Pandory – runie w dół, na doliny. Pan Meister odebrał od pani Meister demoniczny niepokój – bo takie rzeczy przenikają z człowieka do człowieka osmotycznie – i teraz w pannie Werdenfels zamieszkało coś wrogiego, a ona czując się osaczona – ona, czując nieufność, która oszańcowuje ją jak kokon – rozwija w sobie utajone destrukcyjne motywy. Wsiąka w piasek pozytywna energia i „elektryczność uwielbienia" – bo przecież taka była gdzieś na początku tej całej afery. A zatem panna Werdenfels staje się centrum spisku, jądrem anatemy – która spadnie na arcydzieło. Bo przecież w perspektywie twórcy wszystko to dzieje się spiskowo i magicznie. I to jest właśnie jądro owej perwersji, powód, dla którego ten – zdawać by się mogło – niewinny wywiad nabiera cech demonicznych – staje się walką Jakuba z Aniołem – czyli artysty ze ściągającą w dół determinacją – albo jeszcze lepiej powiedzieć: „ze ściągającym w dół fatum"... „Monachium – które mnie zniszczyło!" – mówi Moritz Meister. Ta irracjonalna i magiczna zarazem relacja – buduje i napędza (mechanizm sprzężenia zwrotnego) perwersyjność modelu – a właściwie ujawnia pierwotną perwersyjność modelu tego typu. Oto doktorantka (razem ze swoim rejestrującym instrumentem) staje się stymulatorem i obserwatorem pana Meistra. No, bo przecież ma uzyskać od pana Meistra jakiś rezultat. A przecież wcale nie chodzi jej o literalne skompromitowanie i dekonspirację arcydzieła. Skoro pisze pracę doktorską o arcydziele, które jej nie porywa i którego nie rozumie – to przecież jej interesem nie jest bynajmniej przebicie balona i pójście za najskrajniejszymi intuicjami. Raczej wchodzi w rachubę pewien płatny udział w spisku – na rzecz przeforsowania arcydzieła. Bo przecież takie przeforsowanie arcydzieła nie jest wyłącznie sprawą tak zwanych obiektywnych wartości. Wiadomo, że w tym świecie przez jakiś czas każde gówno może być uznane za arcydzieło. A zatem do dzieła. W swoim jaskółczym lęku para Meistrów szykuje się i do takiej batalii. Co by się nie mówiło – to wylansowanie „arcydzieła" jest procederem śliskim i delikatnym... stąd i to złamanie dziewictwa z owymi dwoma tajemniczymi krytykami. Ale przecież nawet sprzedajni krytycy mogą nagle stać się groźni i przejść do przeciwnej partii – albo (w naszej geografii) – na przeciwny biegun. Wracajmy do naszego modelu! Więc... panna Werdenfels gotowa jest wziąć – we własnym interesie, czy też w interesie pracy swojej, pracy doktorskiej – udział w „spisku", ale jeśli pan Meister jej to mądrze i zgodnie z filozofią jej promotorów uzasadni. Potrzebuje niejako pomocy pana Meistra – w „uzasadnieniu arcydzieła" – bo własna, podminowana złymi przeczuciami intuicja – nie wystarcza. Ale – jeśli do pana Meistra dociera taka intencja – to w bardzo zdeformowanym kształcie – i natychmiast staje się czymś obrażającym. Panna Werdenfels żąda niejako wyparcia się jego kopernikańskiego odkrycia – żąda od niego powrotu do sprawdzonych kryteriów. Ani myśli poddać się hipnozie maga i wejść w grząskie bagienko jego „intymnego ryzyka", w ową wstydliwą uzurpację, która przecież jest właśnie owym morderstwem. To jest coś horrendalnego – to dziwaczne konwulsyjne szamotanie się z tabu, jak z jakąś obrzydliwą poduszką podaną do zasłonięcia genitaliów, które nagle pan Meister koniecznie chce odsłonić... a panna Werdenfels zasłania – jak jakaś ciotka przyzwoitka... To haniebne, to doprawdy haniebne. Pan Meister...

Teatr Dramatyczny m. st. Warszawy
Pałac Kultury i Nauki, Plac Defilad 1, 00-901 Warszawa
www.teatrdramatyczny.pl

Dyrektor Naczelny – **Anna Sapiego**
Dyrektor Artystyczny – **Piotr Cieślak**

Biuro Obsługi Widzów:
tel: (22) 656 68 65, 656 68 44, tel/fax: (22) 826 38 72
e-mail: bilety@teatrdramatyczny.pl, bow@teatrdramatyczny.pl

Organizacja pracy artystycznej: **Dorota Powierża**, Biuro Obsługi Widzów: **Paulina Maciejewska, Patrycja Mojzych**, Kierownik działu literackiego: **Natalia Adaszyńska**, Konsultant ds. programowych: **Małgorzata Dziewulska**, Impresariat: **Zofia Szymanowska**, Marketing: **Izabela Wejcht**, Kierownik produkcji: **Sławomir Adamko**, Kierownik widowni: **Elżbieta Łazińska**, Reżyser: **Paweł Miśkiewicz**, Specjalista ds. scenografii: **Szymon Gaszczyński**, Kierownik techniczny: **Piotr Gajewski**, Kierownik administracyjno-gospodarczy: **Wanda Orzechowska**, Kierownik zespołu oświetleniowców: **Krzysztof Solczyński**, Kierownik zespołu akustyków: **Henryk Garnowski**, Brygadier sceny: **Tadeusz Bąba**, Kierownik garderób damskich: **Maria Kopcińska**, Kierownik garderób męskich: **Józef Sobota**, Kierownik damskiej pracowni perukarskiej: **Henryka Marciniak**, Kierownik męskiej pracowni perukarskiej: **Urszula Tudek**, Kierownik rekwizytorni: **Jacek Błażejewski**, Kierownik damskiej pracowni krawieckiej: **Krystyna Momot**, Kierownik męskiej pracowni krawieckiej: **Stanisław Rutecki**, Kierownik pracowni malarskiej: **Leszek Zalewski**, Kierownik pracowni modelatorskiej: **Jerzy Zalewicz**, Kierownik pracowni szewskiej: **Władysław Galiński**, Kierownik pracowni stolarskiej: **Henryk Białek**, Kierownik pracowni tapicerskiej: **Adam Ziętek**, Pracownia ślusarska: **Marian Gruczek**

Realizacja światła – **Damian Powella**

Projekt graficzny: **Jerzy Skakun**, **Joanna Górska**, Redakcja programu: **Paweł Pokora**
W programie wykorzystano zdjęcia autorstwa **Krzysztofa Bielińskiego** i **Jerzego Skakuna**

patroni medialni:

wprost

gazeta WYBORCZA
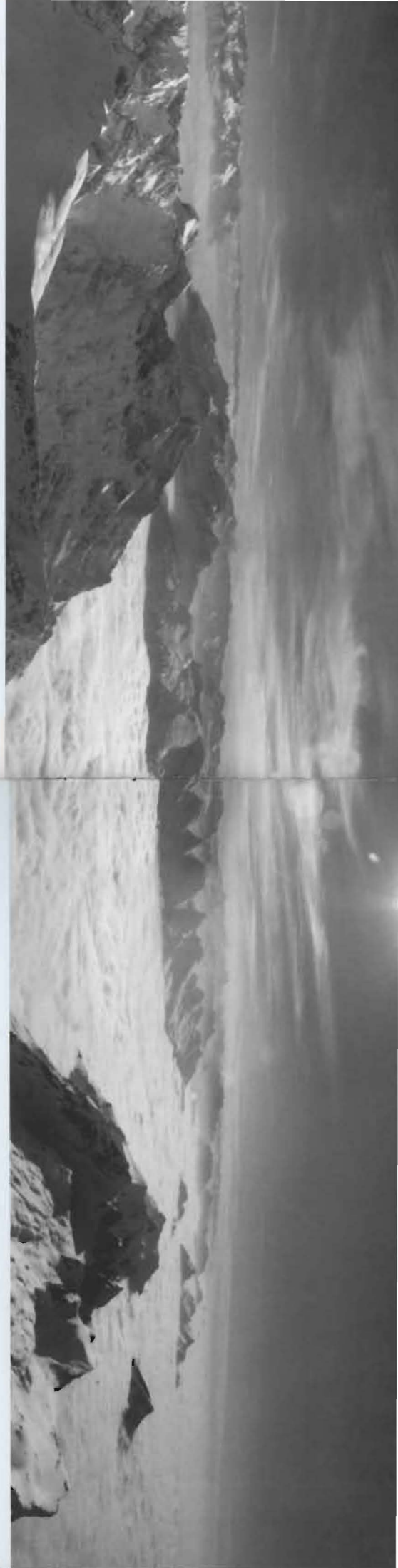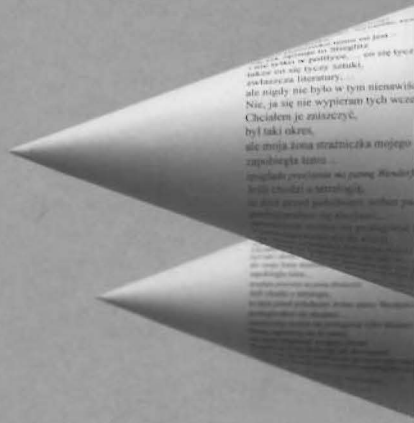
gazeta.pl